

*Nalewka zapomnienia,
czyli bajka dla nieco starszych dziewczynek*

W serii

Babie lato



Małgorzata Gutowska-Adamczyk
Serenada, czyli moje życie niecodzienne

Romuald Pawlak *Póki pies nas nie rozłączy*

Romuald Pawlak *Związek do remontu*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Niebieskie migdały*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Przebudzenie*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Ucieczką znad rozlewiska*

Karolina Świącicka *Lalki*

Małgorzata Maciejewska *Zemsta*

Kasia Bulicz-Kasprzak

Nie licząc kota, czyli kolejna historia miłosna

Kasia Bulicz-Kasprzak *Nalewka zapomnienia,
czyli bajka dla nieco starszych dziewczynek*

Izabela Sowa *Zielone jabłuszko*

Magdalena Witkiewicz *Ballada o ciotce Matyldzie*

W przygotowaniu

Iwona Banach *Szczęśliwy pech*

Kasia Bulicz-Kasprzak *Inna bajka, czyli dziewięć miesięcy
przed długo i szczęśliwie*

Małgorzata Thiele *Trzy panie w samochodzie*

Kasia Bulicz-Kasprzak



*Nalewka zapomnienia,
czyli bajka dla nieco starszych dziewczynek*



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Text © copyright by Katarzyna Bulicz-Kasprzak, 2013

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013

Layout okładki *Olga Reszelska*

Projekt okładki *Karia Korobkiewicz*

Zdjęcie autorki *Igor Kasprzak*

Zdjęcia na okładce:

© iceteaimagesf - Fotolia.com

© istockphoto.com/IdeaMomentLight

Igorowi – mojemu kochanemu synowi

Część pierwsza

O tym, jak się dowiedziałam...

Czasem ludzie próbują zmienić swoje życie. Czasem życie zmienia ludzi. Na przykład mnie. Seria zdarzeń, które nigdy nie powinny mieć miejsca, sprawiła, że musiałam się, jako człowiek, na nowo zdefiniować.



Wszystko zaczęło się od zmiany prezesa. Wydawało się, że to mało istotna zmiana. Zarówno stary, jak i nowy byli zadufanymi w sobie złamasami w drogich garniturach, szytych na miarę. Obu charakteryzowały głupota, upór i spryt. Cechy niezbędne w naszym kraju, żeby robić karierę. Mieli podobne samochody, żony i kochanki. Jedyna rzecz, która różniła, to ulubiony sport.

Poprzedni prezes uprawiał golf. Sport prezesów i celebrytów. Miał fioła na punkcie kijów i śmiesznych swetrów, jakby ukradzionych z szafy babci. Nowy prezes biegał. A ponieważ jest to dziedzina dostępna dla zwykłych zjadaczy chleba, szybko okazało się, że pół firmy też biega. No i tak zaczęły się moje problemy. Bo ja oczywiście nie biegałam.

Nigdy tego nie robiłam, no bo po co? Dieta i masaż również skutecznie pozwalają utrzymać ładną figurę, a przy tym

są dużo przyjemniejsze. Nie ma potu, smrodu i zadyszki. Zamiast tego pachnący olejek, świece i kubeczek odtłuszczonego jogurtu.

Nie żebym w życiu nie myślała o uprawianiu sportu. Ale konie gryzą, rowerem nie ma gdzie jeździć, a na basenie można złapać grzybicę.

Wzięłam, co prawda, kilka lekcji tenisa, ale potem trener mi odradził. Z perspektywy czasu myślę, że to jednak on zawinił. Przecież każdy głupi wie, że człowiek odruchowo się schyli, widząc lecącą w jego stronę piłkę. I ja właśnie się schyliłam, ale on jakoś nie zdążył, wskutek czego na zawsze pożegnał się z górną jedyką.

Zresztą mam tak dużo pracy, że brak mi czasu na cokolwiek innego. Odnoszę wrażenie, że nasza firma funkcjonuje tylko dzięki mnie. Przecisi się zmieniają, pracownicy również. A ja trwam jak ta skała – stała i niezmieniona, i już tylko dwa szczeble dzielą mnie od szczytu. Dziesięć lat morderczej wspinaczki, ale się opłaciło. Zaczynałam jako popychadło na umowę zlecenie, a teraz dysponuję własnym gabinetem i szalenie zestresowaną asystentką. Boi się mnie. Właściwie wszyscy się mnie boją. Mam takie motto życiowe zaczerpnięte z Sienkiewicza: „Jeśli się ludzie nie będą Ciebie bali, to się będą z Ciebie śmieli”.

Nie wiem, jak długo nie dostrzegałam, co się święci. Minęło chyba pół roku, może więcej, od czasu zmiany prezesa. I nagle któregoś ranka zobaczyłam jego i tego tłuka z piaru, jak sobie wracają z treningu. Obaj równie spoceni i obleśni. Ale za to w jakiej komitywie. Z dziobków sobie spijali. A co najgorsze, byli na ty. Nie urodziłam się wczoraj i wiem, że

nawet jeśli prezes tylko się koleguje, to ten drugi na pewno coś knuje. Wiem też, że jak trafia się okazja, żeby pominąć babę przy awansie, to należy ją wykorzystać. Sama praktykowałam to milion razy. Więc co mogłam zrobić w takiej sytuacji? Oczywiście tylko jedno – pojechałam kupić buty do biegania. Chłoptaś w trampkach nie odbierze mi tego, na co ciężko pracowałam wiele lat.

Po tygodniu mojego ostentacyjnego noszenia asicsów do garsonki prezesowi w końcu coś zaświtało.

– Pani też biega? – zapytał.

– Od lat – zapewniłam go żarliwie. – Miałam krótką przerwę. Kontuzja biodra. To się zdarza pronatorom. – Niech żyją fora internetowc. Trzy godzinki surfowania i już jestem specjalistką.

– Montujemy ekipę do sztafety, może się pani przyłączy? – zaproponował prezes. – Potrzebna nam kobieta.

– Z przyjemnością. I jeszcze jedno. Przyjaciele mówią do mnie Jaga. – Słowo „przyjaciele” okrasiałam słodkim uśmiechem.

Właściwie nie przyjaciele. Sama to wymyśliłam. Dawno temu, szukając jakiejś wariacji na temat mojego imienia. Dziewczynki urodzone w połowie lat siedemdziesiątych mają przechlapane. Dziewięć na dziesięć to Agnieszki. Imię tyleż brzydkie, ileż długie. Z debilnymi zdrobnieniami, odpowiednimi dla żaby. Sięgnęłam więc głębiej. Jagna być nie mogło. Nie wzbudza szacunku. Kojarzy się albo z orzechami, albo z gnojem. Ale Jaga. Pomyślałam, że będą mnie za plecami nazywać Babą-Jagą. I to przeważyło szalę.

A przyjaciele nie mieli szansy na wymyślenie mi ksywki. Bo ich po prostu nie mam.

Rozmowy o bieganiu bardzo mnie i prezesa zbliżyły. Podobnie jak ja uważał, że nie istnieją lepsze buty do biegania niż asicsy. (Pomyśleć, że jeszcze do niedawna nie wiedziałam o takiej marce). I że bieganie z pulsometrem to nie dla nas, tradycjonalistów biegających od lat. Nic zgadzaliśmy się natomiast co do treningu interwałowego. Ja zdecydowanie wolałam od niego fartlek¹, bo jak wiadomo wszystko, co pochodzi ze Skandynawii, jest lepsze. W czasie tych dyskusji pozwalaliśmy sobie nawet na niewinne flirty. Bo w zasadzie oboje dobrze wiedzieliśmy, że aby były winne, ja musiałabym mieć o piętnaście lat mniej albo on o trzydzieści więcej.

No i wszystko układało się pięknie. Aż do dnia feralnej sztafety.

Oczywiście nie jestem na tyle głupia, żeby nie zdawać sobie sprawy, że teoria to jedno, a praktyka – drugie. Mogę być skarbnicą wiedzy, ale to mnie nie przyspieszy. Dlatego trochę potrzebowałam. Tylko odrobinę za późno przyszło mi do głowy, że bieganie na bieżni może się mieć do biegania w terenie tak, jak jazda na rowerku stacjonarnym do kolarstwa. Ale co tam. Na wszelki wypadek przygotowałam sobie alibi. Z zerwaniem więzadła kolanowego nikt nie będzie dyskutował, zwłaszcza jeśli do tego padnę na ziemię i zacznę się związać z bólu.

I w zasadzie wszystko byłoby dobrze, gdybym pobiegła na pierwszej albo drugiej zmianie. Ale przypadła mi w udziale

¹ fartlek – szwedzka metoda treningu, która ma rozwijać zarówno szybkość, jak i wytrzymałość biegaczy

ostatnia. Mogłam zaprzepaścić wysiłek drużyny. W zasadzie drużynę, zawody i to całe bieganie miałam gdzieś. Ale dobrze wiedziałam, że jeśli na biurku prezesa stanie puchar, to codziennie mu przypomni, kto pomógł go zdobyć. Chciałam być obecna w myślach przełożonego. Chciałam robić pieprzoną karierę, bo byłam urodzonym korposzczurem. Bo kariera to jedyna rzecz, jaka mi w życiu dobrze wychodziła. Nie mówiąc już o tym, że to jedyne, co miałam.

Kiedy więc dostałam pałeczkę do ręki, zaczęłam pędzić. Zasadniczo chodziło o to, żebym nie dała się wyprzedzić, bo zajmowaliśmy trzecią lokatę, a to już sukces. Tyle że nagle zobaczyłam, jak odległość między mną a tym tłustym facetem z przodu maleje. Przyśpieszyłam. Albo on zwolnił. Może zresztą stało się i to, i to. W każdym razie zrównaliśmy się. Ruszył z kopyta, ale było już za późno, minęłam go. Ostatni raz dostałam taką dawkę endorfin, kiedy moja szefowa poszła na macierzyński, a mnie zaproponowano zastępstwo. Trzy miesiące później okazało się, że szefowa właściwie nie ma po co wracać. Tamten biegacz też już był pieśnią przeszłości.

Zostało może pięćset metrów do mety, kiedy zobaczyłam, że pierwszy ewidentnie osłabł. Ja w zasadzie też. Ale jak to mówią, kto nie próbuje, ten nie je. Przyśpieszyłam. Nie wiedziałam, czy go wyprzedzę, ale wiedziałam, że na pewno umrę. Szybciej, jeszcze szybciej. Nie widziałam nic, tylko tyłek faceta przede mną. A potem już nic. I krzyk prezesa. Jaki tam krzyk! On histerycznie pisał. Poczulałam, jak taśma uderzyła mnie w brzuch. Moje płuca rozpaczliwie pchały się do tchawicy, a żołądek zaraz za nimi. Prezes coś mówił i wa-

lił mnie po plecach. Posypało się konfetti. Chciałam mu się bliżej przyjrzeć, bo w życiu takiego nie widziałam. Wyglądało jak duże czarne płaty. Ale wtedy ktoś nagle wyłączył światło.

Przytomność odzyskałam kilka minut później, w karetce. Śliczny, młodzieńki sanitariusz pochylał się nade mną z troską w oczach.

– No i warto było? – zapytał z naganą w głosie.

– Teraz już tak – odpowiedziałam, myśląc przy tym, jaki jest słodki. „Ciekawe czy lubi zabawę w doktora?” – zastanowiłam się mgliście.

– Jaga, jesteś super. – Głos prezesa dochodził gdzieś z okolic moich stóp.

Spróbowałam podnieść głowę, ale szybko zmieniłam zdanie.

– Jesteś moją bohaterką – piał dalej.

Wolałabym, żeby się zamknął. Chciałam za to, żeby sanitariusz coś mówił. Nawet jeśli tylko miałby mnie poinformować, że dostałam kroplówkę i zaraz pojedziemy do szpitala.

– Wszyscy na to pracowaliśmy. Praca zespołowa – zacytowałam *Poradnik dla lizusów*.

– Moja dziewczynka! – ucieszył się prezes. – No, postawcie ją szybko na nogi – zwrócił się do sanitariusza – bo musimy to uczcić. Czekamy, Jaga!

Poklepał mnie po przyjacielsku w łydkę i poszedł. Drzwi zamknęły się z trzaskiem i ruszyliśmy.

Sanitariusz zapytał, jak się czuję. W zasadzie byłoby lepiej, gdybym nie miała na sobie tego absolutnie asekual-

nego, sportowego stroju. Powinien mnie zobaczyć w czymś bardziej twarzowym.

– Myślę, że jeśli nie da mi pan swojego numeru, to znowu zemdleję – zaryzykowałam.

– Jest pani niepoprawna. – W jego głosie zabrzmiała nagana, ale nie tylko...

– Ja tylko chciałam się jakoś odwdzięczyć za opiekę. – Uśmiechnęłam się najładniej, jak umiałam, choć kosztowało mnie to немало trudu.

Popatrzył na mnie z wyrzutem. Ale zapisał mi numer na przedramieniu.



Nie cierpię szpitali. Strasznie przeszkadza mi ten dziwny zapach. Kolorystyka jest przygnębiająca. Najgorsze zaś są durne procedury. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego muszę jechać na wózek, jak jakaś niepełnosprawna, kiedy mogłabym iść. Mój sanitariusz odwiózł mnie na izbę przyjęć, ładnie się pożegnaliśmy, ja popatrzyłam wymownie na swoje ramię, on puścił oko i sobie poszedł. Zostałam sama. Jeśli nie liczyć całego tłumu dziwnych, na ogół zakatarzonych ludzi i znerwicowanej pielęgniarki. Minęły wicki, zanim do mnie podeszła.

– Lekarz zaraz się panią zajmie – zapewniła. – A ja wypełnię formularz przyjęcia, dobrze? Proszę podać dane.

Utknęłyśmy zaraz po nazwisku. Nie miałam ze sobą dowodu. Nie znałam peselu. Ani właściwie niczego, co miało związek z ubezpieczeniem. W końcu zgarnęli mnie nieprzytomną z Pól Mokotowskich. Pojechałam tam biegać. Nie po-

myślałam o zabraniu ze sobą dowodów terminowego opłacania składek.

Zaczęłam zdradzać objawy lekkiej irytacji. Pielęgniarka uznała, że rozmowa ze mną to strata czasu, i poradziła, żeby ktoś przywiózł mi dokumenty.

– Mogę zadzwonić? – zapytałam, zanim zdążyła uciec do innego pacjenta.

– Jasne – odparła i wskazała mi na wiszący w głębi korytarza automat.

Westchnęłam ciężko nad jej głupotą. Opadłam z powrotem na krzesło. To był jeden z takich momentów, kiedy człowiek czuje się bezsilny wobec absurdalnej rzeczywistości.

– Może pani zadzwonić z mojej komórki – ulitowała się nade mną jakaś staruszka. Wygrzebała telefon z kieszeni pasiastego szlafroka. – Syn mi zostawił na wszelki wypadek.

– Dziękuję.

Wybrałam numer Eweliny. Jedyne, poza swoim, który znałam na pamięć.

– Słucham? – powiedziała radośnie.

Nieznany numer, nie spodziewała się, że to ja. Wyobraziłam sobie, jak uśmiech na jej twarzy umiera.

– Podskoczysz do mojego samochodu. Koło Stodoły zaparkowałam. – Co za szczęście, że Ewelina miała klucze do mojego auta i mieszkania, wygodnie było się nią wysługiwać 24/7. – Zabierzesz stamtąd torebkę. Potem pojedziesz do mnie, weźmiesz książeczkę ubezpieczeniową z biurka i może jakąś piżamę i zameldujesz się tu u mnie, w szpitalu. Weź mój samochód, to mi go zaparkujesz gdzieś tutaj, nie będę musiała wracać taksówką.

– Ale... – W jej głosie zabrzmiało coś jakby opór.

– Co? – chrupnęłam.

– W IKEA jestem...

– No to mamy szczęście, że jest sobotnie popołudnie. Mały ruch, nie będziesz w korkach długo stała – pocieszyłam ją.

To było okrutne. Dopiero teraz mi się przypomniało, że cały tydzień paplała, jak to będą z narzeczonym kupować meble.

Kwiknęła jak mordowana świnka morska.

– Wiem, że dasz radę. Dlatego proszę cię, bo nikt inny by nie ogarnął, ale ty sobie poradzisz. Obie wiemy, jaka jesteś niezawodna. – Grunt to pozytywne wsparcie.

Westchnęła ciężko i obiecała, że będzie najszybciej, jak się da. Zastanawiałam się, jak bardzo mnie nienawidzi w skali od jednego do dziesięciu.

– Młodsza siostra – skłamałam staruszcce, oddając telefon, bo trochę dziwnie na mnie patrzyła. – Jak przyjedzie, oddam pani pieniądze za rozmowę.

– Nie trzeba. – Szczerze się do mnie uśmiechnęła. – Ludzie powinni sobie pomagać. A co się pani stało?

– Zemdlałam. Nic wielkiego. Właściwie mogłabym już iść do domu – zorientowałam się.

Czułam się świetnie, a przebywanie w tym okropnym miejscu nie mogło mi pomóc. Wstałam energicznie, ale zakręciło mi się w głowie. Usiadłam więc ostrożnie.

Staruszka popatrzyła na mnie z troską.

– Może lepiej nie? Lekarz musi panią obejrzyć – doradziła. – Ja też dziś zasłabłam. Wnuk mnie przywiózł. Od jakiegoś czasu, wie pani, tak mi się w głowie dziwnie kręciło. Ale

lekarz mówi, że to nic, witaminy kazał brać. A dziś rano tak mi się nagle słabo zrobiło. No i córka mówi do wnuka: „Marek, to nie ma co, trzeba babcię wieźć na pogotowie”. No i tak tu siedzę, córka ma zaraz przyjść, to może wtedy szybciej pójść. Wcześniej nie mogła, musi czekać na synową, aż z pracy wróci i dzieckiem się zajmie, bo on mały jeszcze. Kubuś, dwa latka ma. Ale taki już mądry, że klękajcie narody. A u pani to może... – Znacząco popatrzyła na mój brzuch.

– Nie, to nie to. Jestem panną – wyjaśniłam.

– Teraz to panny częściej rodzą niż mężatki – zażartowała, ale od razu rzuciła mi pytające spojrzenie, czy mnie przypadkiem nie uraziła.

– Tak się porobiło – zgodziłam się szybko. I z uśmiechem spojrzałam jej w oczy. Całą twarz miała pomarszczoną, ale te oczy, duże, błyszczące, ciekawe jak u dziecka. Piękne po prostu. – Śliczne ma pani oczy – zachwyciłam się spontanicznie.

Podziękowała skinieniem głowy.

Nie wiem, czemu to zrobiłam. Zwykle kontroluję podobne odruchy, bo nie przynoszą nic dobrego. Jak się komuś obcemu powie coś miłego, to niestety powstaje więź. A ponieważ większość ludzi uważa, że podtrzymywaniu więzi służy rozmowa, to za karę musiałam wysłuchać niekończącej się historii córki, która zaraz przyjdzie, jej syna i tego drugiego wnuka. Do tego jeszcze jakieś prawnuki w dużej ilości. Łał. Dobrze, że nikt mnie z tego nie będzie egzaminował, bo na bank bym oblała.

Tymczasem pielęgniarka, której nie wiem, za co płacą, podeszła do nas jeszcze ze trzy razy, zapewniając, że lekarz

zaraz się nami zajmie. Gdyby przyszedł od razu, starsza pani nie zdążyłaby się ze mną zaprzyjaźnić. A tak byliśmy jak Mały Książę i Lis. Czułam się za nią odpowiedzialna.

Moja asystentka ledwie się pojawiła, a już zapracowała na premię. Wydaje mi się, że była mocno zdeterminowana, aby załatwić sprawę przed zamknięciem sklepu. Poza tym kipiała w niej agresja, której nie mogła wyładować na mnie, jednak na pielęgniarce już tak. I zaraz się okazało, że wcale nie muszę czekać. Bo tak się właśnie szczęśliwie składa, że dziś przyjmuje profesor. Co prawda prywatnie i ma komplet, ale... I za to właśnie lubię pieniądze. Nie ma żadnego ale.

Właśnie wstawalam, żeby zamienić publiczną służbę zdrowia na prywatną, kiedy podchwyciłam spojrzenie staruszki, która siedziała obok mnie. Patrzyła jak pies, kiedy się go uderzy. Z taką mieszaniną żalu i niedowierzania.

– Proszę wziąć też kartę tej pani – rozkazałam pielęgniarce. Postanowiłam objąć nową przyjaciółkę płatną protekcją. – Nie będzie tu pani siedziała cały dzień. Prawnuczek czeka.

Ludzie, jaka ona była mi wdzięczna! Podobnie jak Ewelina, której pozwoliłam już iść. Dałam jej nawet swoją służbową kartę kredytową i poprosiłam, żeby sobie coś ładnego ode mnie kupiła. Wrzucę potem je obie w koszty. Jako działalność filantropijną.

W ten sposób babinka i ja przeszliśmy przez badanie krwi, sików, rezonans i inne dziwności.

W końcu trafiłam do gabinetu. Odbiegał trochę od szpitalnego standardu. Kolorystyka nie do przyjęcia, ale skórzany fotel na pewno był drogi. Podobnie jak pełen książek regał, stojący w kącie. Widać, że osoba, która tu urzędowała, lubiła

luksus i nawet w tych „publicznych” warunkach, chciała mieć jego namiastkę.

Profesor spojrział w moją kartę, zadał kilka zdawkowych pytań, szybko przerzucił wyniki. Na koniec stwierdził, że wszystko ze mną w porządku. Tylko jestem przemęczona. Zapisał mnie na wizytę w przyszłym tygodniu, kiedy dotrą zdjęcia z rezonansu magnetycznego, i dał ulotkę preparatu witaminowego.

Do babci dołączyła jej córka. W jej oczach dostrzegłam dziwną podejrzliwość. Pożegnałam się więc szybko, podziękowałam za telefon i życzyłam zdrowia. Chciałam dodać jeszcze coś miłego, ale córka wepchnęła matkę do gabinetu i zamknęła mi drzwi przed nosem. Pomyślałam, że nie ma co na nie czekać, i poszłam na parking.

W mieszkaniu od razu rzuciły mi się w oczy ślady cudzej obecności. Dosunęłam szuflady, wyrównałam papiery na biurku, odpowiednio ustawiłam wertikale. Nalałam sobie pół szklanki szkockiej i zadzwoniłam do sanitariusza.

– Panie doktorze, nie czuję się najlepiej – wyszeptalam zmysłowo.

– Chyba mam coś, co pani pomoże – odpowiedział ze śmiechem.

– Czekam z niecierpliwością.

Odłożyłam słuchawkę. Nienawidzę siebie.



Na twarzach lekarzy zwykle maluje się znudzenie. Czasem, kiedy są jeszcze młodzi, troska. Ten był wyraźnie zaintrygowany.

– Wic pani, to ciekawe. Badania krwi ma pani bardzo dobre. Śmiałybym rzec, że hemoglobina jak u starego marynarza.
– Uśmiechnął się, rozbawiony własnym dowcipem. – Jednak zdjęcia nie pozostawiają wątpliwości. Pani raczy zerknąć.

I podsunął mi coś, za co marszandowi zapłaciłabym duże pieniądze, zadowolona, że lokuję kasę w sztuce współczesnej najwyższych lotów.

– Ależ źle pani patrzy – powiedział z wyrzutem. Stuknął paluchem w miejsce, na którym powinnam skoncentrować wzrok. – Tu! Widzi pani? Kształt jakby motyla?

– Tak. Teraz widzę.

Zupełnie jak z tymi obrazkami z głębią. Jeśli zrobisz zezą, zobaczysz motylka. Skłamałam więc w obawie, że bez mojego oświeccenia nie ruszymy dalej.

– To bezapelacyjnie glejak – oświecił mnie.

– Czyli? – Nie podobała mi się ta nazwa. Nie wróżyła nic dobrego.

– Nowotwór mózgu – wyjaśnił. W jego głosie pobrzmicwała pewna ekscytacja.

Wydaje mi się, że potem wstałam i wyszłam. Ale pewna być nie mogę. Nie pamiętam niczego między jego „nowotwór mózgu” a moim „kurwa mać”, kiedy nalewalam sobie wódki do szklanki. We własnym mieszkaniu.



Jakiś tydzień i dwa opakowania środków uspokajających później wróciłam do gabinetu. Miałam nadzieję, że się pomylił. Przecież nie można komuś powiedzieć, że ma raka, tylko na podstawie tego, że ma raka. I jakiego, do cholery, ra-

ka? Przecież w czasie pierwszej wizyty wszystko było w porządku!

– Rozumiem pani mechanizm zaprzeczenia. – Lekarz pokiwał głową. – To normalne. Znam świętego psychologa, nie jest tani, ale na pewno będzie pomocny. I jeśli pani sobie życzy, zrobimy wszystkie potrzebne badania jeszcze raz. Niemniej należałoby już podjąć kroki...

– Podczas pierwszej wizyty mówił pan, że jestem całkiem zdrowa.

– Tak mówiłem? – zdziwił się. – Proszę mi wybaczyć. Przy takiej liczbie pacjentów zawsze coś może umknąć. Ale zdjęcie nie pozostawia wątpliwości. – Pokiwał głową.

– Pan jest pewien? – Ciągle nie wierzyłam.

Nie mogłam! To był jakiś absurd.

– Niestety tak. – Stuknął palcem w zdjęcie.

– Czeka mnie operacja czy chemia? – zapytałam, bo chciałam wiedzieć, w którą stronę prowadzą kroki, o których mówił.

– Czekają panią trzy, może cztery miesiące cierpienia. Na tym etapie choroby niewiele możemy zrobić – oświadczył spokojnie.

– Wic pan, jeśli nie można zrobić operacji w ramach ubezpieczenia, to ja zapłacę. Komu trzeba i ile trzeba. – Byłam zdeterminowana.

– To smutne. – W pierwszej chwili myślałam, że mówię o próbie przekupstwa i nawet zrobiło mi się głupio. Ale on mówił o mnie. – To smutne, bo jest pani bardzo młodą i piękną kobietą. I gdyby był cień nadziei, walczyłbym razem z panią. Ale nie ma. – Położył nacisk na te słowa. – Trzy miesią-

cc. Przy pani ogólnie dobrym stanie organizmu cztery, może pięć. Objmiemy panią najlepszą opieką medyczną, jaką dysponujemy. Na naszym oddziale...

– Ale to nic nie da? – przerwałam mu.

– Z pewnością złagodzi objawy.

– Ale i tak umrę? – Musiałam wiedzieć.

Nie chciałam mieć wątpliwości. Albo, co gorsza, złudnej nadziei.

– Wszyscy kiedyś umrzemy, ale pani niewątpliwie trochę szybciej.

„I boleśnicj” – dodałam w myślach za niego, zastanawiając się, czy jest nieempatycznym palantem, czy zwykłym dupkiem.

– Umrę? – powtórzyłam. Skinął głową. – Leczenie, o którym pan mówi, nic nie da?

– To środki przeciwbólowe, morfina... – wyjaśnił.

– Jeśli dobrze pana zrozumiałam, jedyny wybór, jaki w tej chwili mam, to taki, czy umrę w domu, czy w szpitalu?

Odpowiedział mi skinieniem głowy.

– No to wołę w domu. – Zaczęłam zbierać się do wyjścia.

– Proszę poczekać. – Gestem usadził mnie z powrotem.
– Proszę to przemyśleć. Może pani uważać, że da sobie radę, ale niedługo zaczną się pojawiać objawy. Problemy z koordynacją ruchową, zaburzenia czucia, zaburzenia mowy, wzroku, słuchu, osłabienie sprawności umysłowej, zaburzenia pamięci, omamy...

– Wystarczy – przerwałam mu.

I wyszłam.



Przez tydzień próbowałam żyć normalnie. Jakby to, co się stało, dotyczyło innej kobiety. W innym świecie. Wmawiałam sobie, że mam swoją pracę, mieszkanie, życie.

Po tygodniu zrozumiałam, czym jest życie w kłamstwie. Uświadomiłam sobie, że bez względu na to, jak bardzo będę się starała udawać, nic już nie będzie normalne. Ogłoszono koniec świata. Nicodwoalnie. Wsiadłam do autobusu, który wiozł mnie na drugą stronę, i jeśli miałam umrzeć, to już lepiej z godnością. W miejscu gdzie będę sama, a nie samotna. Powiedziałam więc sobie, że zawsze żyłam według własnych zasad i, do cholery, umrę tak, jak będę chciała.

Zastanawiałam się, co się ze mną stanie. To znaczy nawet nie tu, tylko tam. Potrzebowałam wiary. Głównie dlatego, żeby na kogoś zwalić winę za to, co mnie spotkało. Z drugiej strony, wzięwszy pod uwagę wszystkie epitety, jakimi ja, była ateistka, ostatnio obsmarowywałam Boga, to raczej skutecznie zamknęłam sobie bramę raju.

I kiedy tak myślałam o miejscu wiecznej szczęśliwości, przypomniał mi się dom babci na Roztoczu. Jedyne miejsce, gdzie byłam szczęśliwa. Tak naprawdę i długotrwałe. Nie chodzi mi o krótkie chwile euforii, kiedy dostałam awans, czy nawet takie dłuższe, kiedy jeszcze byłam z Juliuszem. Ale o prawdziwe, niezmaćone uczucie szczęścia, z którym człowiek budzi się i zasypia. Kiedy się nie boi, bo obok są rodzice. A tata jest częścią naszej rodziny, a nie jakiejś cudzej.

Ponieważ byłam osobą rozsądną, zdawałam sobie sprawę, że w zaistniałej sytuacji powrót do takiego stanu jest niemożliwy. Ale może same wspomnienia wystarczą?

Doszedłem do wniosku, że chyba mogłabym tam pojechać. Spędzić trzy miesiące na sielskiej wsi. Oddychać świeżym powietrzem i pić mleko prosto od krowy. Może nawet przeczytać jakąś książkę. Książki odeszły z mojego życia razem z Juliuszem. I ani jego, ani ich mi nie brakowało.

Jedyną osobą, która mogła coś wiedzieć o domu babci, był mój ojciec. Z niechęcią wybrałam jego numer.

– Cześć, co słychać? – przywitał mnie wesoło, ale wiedziałam, że ta wesołość to tylko przykrywka. Tak naprawdę ojciec był przerażony. Tak to właśnie jest, kiedy przez lata dzwoni się do kogoś tylko po to, żeby na niego wrzeszczyć.

– W porządku. – To tyle, jeśli chodzi o kurtuazyjne rodzinne konwersacje. – Słuchaj, co się teraz dzieje z domem babci?

– Nie wiem, kochanie. Przepraszam. – Jego ton przeproszał za wszystko, łącznie z rozbiorami Polski.

– Nic nie wiesz?

– Przepraszam, nie interesowałem się. Powinienem być od czasu do czasu tam pojechać, zobaczyć, w końcu chodzi o twoją własność... – Jego głos płaszczył się przede mną. – Ale wystarczyło mi, że ten człowiek, co dzierżawi pole, tam dogląda. Przepraszam, kochanie. Przepraszam.

Ojcu dobrze by zrobiła jakaś terapia. Fatalnie się z nim rozmawia.

– Czyli ten dom jest czyj? – Wdrożyłam technikę małych kroków, żeby wyciągnąć z niego jakieś informacje.

– Twój. To jasne. Dom, pole i taka... łąka chyba. Przepraszam...

– Może i jasne, że mój. Tyle że nic o tym nie wiedziałam – mruknęłam z przekąsem.

I prawie od razu ugryzłam się w język. Ojciec spanikował. Zaczął mnie jeszcze wylewniej przeproszać. Ale przecież nie chciał źle. Bał się jedynie przywoływać wspomnienia, bo wie, jakic to dla mnie bolesne. Jasne. Nie wiem, dlaczego własne wyrzuty sumienia maskuje troską o mnie. Byłoby mi w życiu o wiele łatwiej, gdyby zamiast wymyślać takie pierdoły, po prostu przyznał: „To przeze mnie twoja mama nie żyje”. Ja bym powiedziała, że wiem i że nigdy mu tego nie wybaczę. To by bardzo uprościło nasze wzajemne relacje.

– A ten dom stoi jeszcze? Ktoś w nim mieszka? – dopytywałam.

– Myślę, że tak. To znaczy nie. To znaczy, myślę, że stoi, ale nikt w nim nie mieszka.

– Czyli mogę tam pojechać?

Przyśpieszony oddech ojca świadczył o megahisterii. W takim stanie nawet moje świetnie uspokajające prochy niewiele by mu pomogły.

– Ale po co masz tam jechać? – Jego głos prawie drżał ze strachu.

To nawet zabawne, bo na ogół to dzieci boją się rodziców.

– Nie po to, żeby grzebać w przeszłości – uspokoiliam go. To akurat było zgodne z prawdą. Potem już kłamałam: – Mam urlop. Pomyślałam, że dla odmiany zamiast na Majorkę pojadę gdzieś w Polskę.

– To świetny pomysł. Ale może wybrałabyś się na Warmię? Na Warmii jest naprawdę ładnie. Spędziliśmy tam z Halinką wolne dni w zeszłym roku.

Wspominanie przy mnie Halinki nie było najrozsądniejszym posunięciem. Zwykle kiedy ktoś wymówił jej imię, wpadałam w furję. Nie żebym nie lubiła macochy, nic do niej nie miałam. Nie podobało mi się tylko, że ojciec jest z nią szczęśliwy. Nie powinien być szczęśliwy. Nie zasłużył na to.

– Potrzebuję ciszy i spokoju, a nie tabunów turystów. – Logicznym kłamstwem próbowałam wytłumaczyć dziwny wybór.

– Ale na Warmii... – zaczął ojciec, jednak nie dałam mu skończyć.

– Tato, to nie do końca urlop. Mam ważny projekt do zrobienia. Potrzebuję dwóch S: spokoju i skupienia. – Nie wiem, kiedy wpadłam w ton ze szkoleń motywujących. „Dwóch S? Ja tak mówię do ludzi?” – zdumiałam się.

– No, skoro tak. – Ojciec dał za wygraną. – To ja zadzwonię do tego pana, co się zajmuje polem, i go zapytam, skoro ci zależy. A pieniądze za to pole też od razu chcesz?

– Jakie pieniądze? Nie, no coś ty, tato, nie chcę.

– Bo jakbyś chciała, to ja ci odkładam i ze wszystkiego mogę się rozliczyć. Tylko ci nie mówiłem, bo ty nerwowo reagujesz, jak wspominam twoją matkę.

– Wcale nie reaguję nerwowo! – krzyknęłam. – Nic mnie nie obchodzi żadne pieniądze, możesz je sobie wziąć.

– Ależ ja nie chcę twoich pieniędzy. – Poczul się dotknięty.

Wiadomo: „Jestem biedny, ale uczciwy”. Zresztą na tym polegał problem – gdyby nie był tak uczciwy, nie klepałby również biedy. Szkoda tylko, że ta uczciwość w pracy nijak się miała do uczciwości w życiu prywatnym. Uznałam, że

należy skończyć tę nieprowadzącą już donikąd rozmowę, żebym mogła spokojnie powyzywać ojca w myślach.

– To zadzwoń, jak się czegoś dowiesz – poleciłam.

Rozłączyłam się tak szybko, że nawet nie usłyszałam westchnienia ulgi, które zwykle towarzyszyło naszym pożegnaniom.



Delikatnie zapukałam do drzwi i weszłam, nie czekając na zaproszenie. Prezes podniósł głowę znad papierów i cały się rozpromienił na mój widok.

– A kogóż to moje piękne oczka widzą! – wykrzyknął. Jego tyłek uniósł się o jakieś dwa centymetry, bo przecież kulturalni mężczyźni nie siedzą w towarzystwie kobiet. – Wiem, po co przysłaś. – Puścił do mnie oko, a ja przez ułamek sekundy rozważałam, czy to możliwe. – Mam, mam. Już szukam. – Z głośnym „puff” opadł z powrotem na fotel i zaczęła otwierać szuflady olbrzymiego biurka w stylu kolo-nialnym.

Czekając, co z tego wyniknie, omiotłam wzrokiem gabinet szefa. Do niedawna moje marzenie numer jeden. Duży, jasny i z widokiem na pół Warszawy. Szkoda, że prezes tak go zagrabił. Zatrzymałam wzrok na wielkim szklanym wazonie. „Za zajęcie pierwszego miejsca w Sztafecie Tygrysów Biznesu” – informowała grawerowana tabliczka.

– Piękny, prawda? – zapytał prezes z rozculeniem. – A to dla ciebie. – I podał mi kawałek blachy na kolorowej wstążce z logo sponsora. – Świętowaliśmy jego zdobycie. Szkoda, że cię zabrakło.

– Prywatnie świętowałam. – Uśmiechnęłam się do wspomnienia sanitariusza, a prezes pomyślał, że do niego.

Schowałam medal do kieszeni. Szef był w świątecznym humorze, a ja z przyjemnością mu go popsuję.

– Odchodzę – oświadczyłam stanowczo.

Prezes patrzył na mnie uważnie, lekko przekrzywiając głowę. To jego spojrzenie z czymś mi się kojarzyło. W poprzednim życiu musiał być papugą.

– Chcesz podwyżki. – W jego głosie pobrzmiwała nutka zadowolenia, że tak szybko mnie rozgryzł. – W zasadzie możemy to załatwić od ręki. – Zaśmiał się rubasznie.

Opanowałam ochotę palnięcia go w łeb oraz inne złe emocje i rzekłam spokojnie:

– Nie chcę podwyżki. Po prostu odchodzę.

Nagle zdałam sobie sprawę, że w zasadzie mówię mu prawdę. I jak tu się nie zachwycać mową ojczystą? Zachotałam.

– Aż tak? – Prezes się zdziwił. – Dobra, dorzucę jeszcze samochód służbowy i wyjazd szkoleniowy – puścił do mnie oko – w tropiki. Jako bonus.

– Przykro mi, ale to już postanowione. Odchodzę nieodwołalnie.

Coś w tonie mojego głosu sprawiło, że do prezesa w końcu dotarło, że nie przyszłam się targować. Złapał się więc ostatniej deski ratunku – szantażu emocjonalnego.

– Jaga, nie możesz odejść. Że tak powiem, ta firma to ty! Westchnęłam. Całe życie pragnęłam usłyszeć te słowa.

Trochę żałowałam, że nigdy wcześniej nie wpadłam na pomysł z fałszywym zwalnianiem się z pracy. Mogłam coś

ugrać. A teraz było już za późno. Z drugiej strony, jak to mówią, zobaczyć minę szefa – bezcenne.

– Sam mówiłeś, że nie ma ludzi niezastąpionych – powiedziałam wesoło. – I jeśli wolno mi coś doradzić, siebie zastąpiłabym Anią. Jeśli awansujesz Piotrka, boleśniciej odczujesz jego odejście.

No i poszłam sobie. Uprzątnięcie biurka zajęło mi jakieś trzydzieści sekund. Trudno dłużej pakować kosmetyczkę i terminarz. Żadnych innych osobistych rzeczy nie miałam.

Ewelina siedziała w kącie i płakała. Oczywiście nie za mną, tylko nad sobą. Bo kto zechce asystentkę mocno używaną?



Siedziałam naprzeciwko Ariela w kawiarni. Wybrałam jeden z tych lepszych lokali, w których zatrudniają prawdziwego baristę, a kawa nie jest mieszaniną cukru, mleka i neski. Lubiałam tu przychodzić. Mieli taki fajny, nowoczesny wystrój, meble chyba z Mediolanu, i zawsze były wolne miejsca. Zamówiłam latte. Ariel tylko spojrzął na kartę i powiedział, że nic nie będzie pił, bo trochę się śpieszy.

Nie spotykaliśmy się zbyt często. Moi rodzice rozwiedli się w czasach, kiedy rozwody nie zdarzały się co dzień, więc matka Ariela została „tą drugą”, suką i zdzirą, a nie znajomą, z którą ustala się grafik sobotnich zajęć dzieci naszych i waszych.

Nie nawiązałam z Arielem więzi i choć był moim przyrodnim bratem i w zasadzie najbliższą mi na świecie osobą, traktowałam go jak obcego, tym chętniej, że wszystko nas

różniło. Byliśmy jak ogień i woda. Ja mogłabym grać u braci Coen, Ariel bez problemu dostałby robotę u braci Farrelly. Do tego wyglądał jak niedźwiedź siłą wywleczony z gawry. Brunatny, zarosnięty i otłuszczony. Aż trudno uwierzyć, że spłodził nas ten sam mężczyzna. Wewnętrzne różnice były jeszcze wyraźniejsze. Ja – praktyczna i ambitna, Ariel – nie. Lista jego potrzeb życiowych zawierała dwie pozycje: spanie i chłanie. Jeśli podejmował jakieś działanie, to tylko po to, żeby którąś z nich zaspokoić. Poza tym tkwił w marazmie. Intelktualnie zaś przypominał deskę – czysta prostota.

Jedyną ciepłą uczuciem, jakie potrafiłam z siebie wykrzesać, to ulga, że nasze krótkie na ogół spotkanie się skończyło. To zaczęło się chwilę temu. Spóźnił się i zwałił winę na tramwaj. Niedojrzałe podejście, należało pojechać wcześniej.

Jak zwykle grzecznie zapytałam, co u rodziców, a Ariel poinformował mnie, że spoko. No i wreszcie mogłam przejść do części oficjalnej.

– Muszę wyjechać na dwa, trzy miesiące i chcę, żebyś zajął się moim mieszkaniem – poinformowałam brata.

– Kwiatki mam podlewać, tak?

– Nie mam kwiatków – odparłam.

Nie wiem czemu, ale odniosłam wrażenie, że z kudłów sterczy mu igliwiec.

– To co mam robić? – Próżno by szukać w jego oczach, choćby na dnie, jakiegoś błysku intelektu.

– Myślałam, że może byś tam zamieszkał pod moją nieobecność? – Kiedy powiedziałam to na głos, zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem chora. Oddaję ukochane miejsce temu troglodycie, żeby przerobił je na jaskinię!

– Za ile? – zapytał Ariel.

– Co: za ile? – Nie rozumiałam go.

– Ile musiałbym ci zapłacić? – doprecyzował.

– Nic.

Teraz on nie rozumiał, ale to raczej norma. Czasem myślę, że z szympansem prowadziłam dużo ciekawsze rozmowy.

– Próbujesz mi powiedzieć, że mogę mieszkać u ciebie dwa micchy za friko? – zdziwił się.

– Tak właśnie. – Szczerze się ucieszyłam, że w końcu załapał.

– A gdzie jest haczyk? – drążył uporczywie.

– Nie ma haczyka. Daj spokój, Ariel! – Czułam narastającą frustrację. Ta rozmowa powinna była dawno się skończyć. I zdecydowanie powinna zupełnie inaczej przebiegać. – Daję ci mieszkanie, bo inaczej będzie stało puste. – Powinam powiedzieć: „Bo i tak za kilka miesięcy zostaniesz jego właścicielem”. – Nie tak dawno miałam tyle lat co ty i wiem, jak to jest, kiedy człowiek chce odrobiny prywatności.

– Wybacz, siostró. Mogę ci mówić: „siostró”? Otóż ty nigdy nie byłaś w moim wieku. Urodziłaś się stara i wyracho...

Nie czekałam, aż skończy. Nie mogłam pozwolić, żeby zaczął mnie obrażać, bo wtedy nie pozostałabym mu dłużna. A w końcu nie chodziło o to, żebyśmy okazywali sobie wzajemną niechęć, tylko o to, żebym uporządkowała swoje sprawy.

– Chcesz to mieszkanie czy nie? – zapytałam zdecydowanie.

Widziałam wahanie w jego oczach.

– To jest transakcja wiązana – tłumaczyłam. – Ty będziesz miał na trochę chatę, a ja pewność, że mieszkanie jest w dobrych rękach. Nie knuję żadnego podłego spisku. Ludzie się zmieniają.

Ariel popatrzył mi w oczy i powiedział:

– Ludzie tak, ale ty nie jesteś istotą ludzką.

Wstał, jednak pokusa okazała się zbyt silna. Dlatego tak wielu ludzi idzie do pickła – tanio sprzedajemy własne dusze.

– Jeśli naprawdę tylko o to chodzi, to może być. Od kiedy?

– Wpadnij jutro wieczorem. Dam ci klucze i pokażę co i jak.

Kiwnął głową i wyszedł. Ja zostałam i powoli sączyłam swoje latte.



Ariel przyszedł tak, jak się umówiliśmy. Zachowywał się nawet mniej arogancko niż zwykle. Rozglądał się z zainteresowaniem. Zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jest w moim mieszkaniu. W ogóle był pierwszą spokrewnioną ze mną osobą, którą wpuściłam za próg. Pewnie matka z ojcem będą go wypytywać, jak mieszkam. Imponująco – to chyba najlepsze określenie. Mieszkanie, zwane przez dewelopera apartamentem, miało ponad sto metrów powierzchni. Był to głównie salon, bo idąc za radą dekoratora, wyburzyłam prawie wszystkie ścianki działowe. Z czterech sypialni została ostatecznie jedna, niewielka i przytulna, i szybko stała się moim ulubionym miejscem w domu. Nawet pracowało mi się tu lepiej niż przy wielkim biurku w salonie. Dlatego poprosiłam Ariela, żeby z niej nie korzystał.

– Czynsz jest opłacony pół roku do przodu. Prąd i gaz też. Ale może być jakaś niedopłata, więc na wszelki wypadek zostawiam ci pieniądze w szafce nad lodówką. Tylko nie przepij ich od razu – upomniałam. – Tu masz telefon do administratora. Ja powinnam się zmyć za jakiś tydzień. Dam ci znać, jak będę wyjeżdżała.

Ariel, który w skupieniu wysłuchiwał moich poleceń, potakująco kiwnął głową. Beznamiętnie wziął klucze, wcisnął je do kieszeni kurtki i ruszył do wyjścia.

– Ariel?

Zatrzymał się.

– Ta?

– Dlaczego ty mnie nie lubisz?

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie.

– Nic, moja droga. To ty nie lubisz mnie. – I wyszedł.

No to teraz wiem, co znaczy „czuć się, jakby ci ktoś w mordę dał”.

Przez chwilę trawiłam jego słowa. Potem poszłam się pakować. We wszystkim metodyczna i skrupulatna. To był klucz do mojego zawodowego sukcesu. I życiowej porażki chyba też.

Sprawnie i szybko mi szło. Przy okazji oczyściłam Arielowi przestrzeń życiową z pamiątek po mnie. Opróżniłam szafy, zapełniłam niszczarkę. Nawet kurcze zaczęłam wycierać. Kiedy przesuwaliśmy książki w witrynie, jedna z nich mi upadła. Podniosłam ją z podłogi. Wtedy zauważyłam wsunięte w nią zdjęcie. Ocalało z pogromu, jaki zrobiłam po odejściu Juliusza, tylko dlatego, że któreś z nas użyło go jako zakładki. Pewnie Juliusz, to do niego pasowało. Nic świadczy o mnie najlepiej fakt, że od lat nie zaglądałam do książek.

Przez chwilę przyglądałam się zdjęciu. Juliusz i ja na ławce w parku, jakieś dwadzieścia lat temu. On w dżinsowym uniformie, ja w dziwnym swetrze i z absolutnym brakiem fryzury. To było chyba na wycieczce szkolnej przed maturą. Do Krakowa chyba. Jak przez mgłę pamiętam cały dzień chodzenia. Wszyscy mieli już dość. Cała sztuka, którą podziwialiśmy, zlała się w jedną szarą masę. Usiadłam znużona na ławce, Juliusz obok. „Musisz mi zawsze zajmować miejsce obok” – powiedział. „Dlaczego?” – zapytałam. „Bo cię...” – zaczął Juliusz, ale wtedy przybiegła profesor Żak, nasza wychowawczyni. „Och, jak oni ładnie wyglądają – zachwyca się. – Anka, zrób im zdjęcie do kroniki! Uśmiechnijcie się!”. Błysnął flesz. Przestałam się szczerzyć. „...kocham” – dokończył Juliusz.

To było jego ulubione zdjęcie. Przez lata się z nim nie rozstawał. Powoli przedarłam je na pół i wrzuciłam do niszcarki. Słuchałam odgłosu mielenia, a potem się rozplakałam. Poszłam pod prysznic, żeby zagłuszyć szloch i ukryć łzy. Stałam w strugach wody. Potem usiadłam, naga i bezbronna, w zimnym brodziku. Trzęsłam się z płaczu, zimna i strachu. Nie płakałam dlatego, że niedługo umrę, ale dlatego, że umarłam już dawno temu.

Kochany Arielu!

To nie tak, że Cię nie lubię. Lubię Cię. Nawet bardzo. Ty i tata jesteście moją jedyną rodziną. Ja...

Przypomniałam sobie chwilę, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Aricla. Tato zabrał mnie do szpitala w niedzielę, za-

raz po kościele. Był ciepły czerwcowy dzień, więc po drodze jedliśmy lody.

Halinka leżała w łóżku i wyglądała na bardzo chorą. Obok niej, na kołdrze leżało zawiniątko. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co kryje się w zwoju flaneli. Tato wszedł, usiadł na łóżku, z troską pytał, jak się czują, a ja wciąż stałam w drzwiach, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

– A ty, Aguś, nie chcesz zobaczyć braciszka? – zapytała Halinka. – No chodź.

Nieśmiało zrobiłam trzy kroki i stanęłam w nogach łóżka. Halinka uśmiechnęła się do mnie łagodnie. Wyciągnęłam szyję. Prawdę mówiąc, byłam ciekawa. Nigdy jeszcze nie widziałam noworodka.

– Chodź, zobacz, jaką ma malutką rączkę. – Poklepała miejsce na kołdrze obok siebie.

Podeszłam, ale nie usiadłam. Patrzyłam z góry na zawiniątko. Z białą becika mocno kontrastowała czerwono-fioletowa, pomarszczona twarz. To była najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

– Chcesz go potrzymać?

Kiwnęłam głową.

Usiadłam na łóżku, a Halinka delikatnie podniosła zawiniątko i wwindowała mi je na kolana.

– Daj tu rękę. Trzeba podtrzymać główkę – wytłumaczył tato.

Siedzieliśmy teraz wszyscy. Tak blisko jak nigdy w życiu. Skupieni wokół malutkiej istotki, która patrzyła na nas wielkimi niebieskimi oczyma i lekko się śliniła.

– Ładnie pachnie – powiedziałam. – Jak się nazywa?

- Ariel – wyjaśniła Halinka. Była z niego bardzo dumna.
- Mogę go pocałować?
- Oczywiście...
- Pochyliłam się...

..ja nigdy nikogo tak nie kochałam jak Ciebie. Przytuliłam się wtedy do Ciebie z całej siły. Czułam Twoją delikatną skórę i zapach. Byłeś taki słiczny, taki bezbronny i mój. I ja, Arielu, byłam bezbronna. Ale czułam, że muszę Cię obronić przed złym, okrutnym światem. Chciałam Cię wziąć na ręce i uciec gdzieś, gdzie będziesz bezpieczny, żebyś nigdy nie musiał tak cierpieć jak ja.

Jeśli nigdy nie okazywałam Ci tego, jak bardzo Cię kocham, to ze strachu. Wszyscy, których kochałam, mnie zostawili. Ja... ja mogłam znieść śmierć mamy, ale nie przeżyłabym Twojej.

A teraz tak sobie myślę, że to nawet dobrze, że nigdy nie byłam Ci bliską. Przynajmniej moja śmierć Cię nie zaboli. Kocham Cię, Arielu. Z całego siostrzanego serca Cię kocham...

„Co za idiotyzm! Co się ze mną dzieje?” – pomyślałam nagle ze złością i wyrzuciłam zmiętą kartkę do kosza.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.*

zing

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja *Katarzyna Nowak*
Korekta *Karolina Pawlik*,
Joanna Morawska, Katarzyna Sobiepanek-Szczęсна
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-12420-3

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013 r.
Druk: Opolgraf SA